Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 15. Poznań, dnia 13. Kwietnia. 1840.

Literatura zagraniczna.

Der Freihafen. Dritter Jahrgang. 1840.

Pismo to wychodzi kwartalnemi zeszytami w Altonie. Z rokiem bieżącym obróciło mu się na rok trzeci istnienia. Poświęcone nauce i zabawie zyskało już sobie imie i wzięcie po całych Niemczech, przez dobór artykułów z zakresu umiejętności i życia spółecznego. Dostrzegamy w nich śmiały postęp wyobrażeń, śmielszą jeszcze satyrę, targającą w szmaty wszelką ułudę i pozór, wyszydzającą śmieszności w dwóch zupełnie sobie przeciwnych kierunkach: salonowego i uczonego świata. Kupieckie i napuszone miasta dawnéj Hansy, stolice niemieckiego niezgrabnego zbytku i niemieckiego uczonego pedantyzmu, oto obszerne pole do obrazów, postrzeżeń, dowcipu, dla pisarzy wolnego portu. Tak niezwykły literacki ładunek, co obok zwyczajnego uczonego towaru spławia się cztery razy do roku Elbą pod wodę i na całe rozchodzi Niemce, musiał wrzawy narobić. Najprzód się też nań oburzyło genus irritabile vatum, średniowiekową togą obrzuceni kapłani szwajcarskiéj świątyni mądrości, dotknięci do żywego artykułem bezimiennego autora: »charakterystyka uniwersytetu w Bernie.« Nie wymieniono ich tam z nazwiska, ale widać tak trafnie oddano w obrazie, że się sami w nim poznali. Uraza zamieniona w gniew i namiętność i najrozsądniejszego ociemni, a w takiém omacku do większego szwanku doprowadzi. Otóż i owi professorowie w piśmie, zwaném »Der Verfassungsfreund«, powiedzieli światu, że to oni, których bezimienną dano charakterystykę, a tak poznał, kto chciał, i obraz i oryginał. Nie ma lepszéj broni nad satyrę, na pedantyzm uczonych, wywierający nieobrachowany wpływ złego na obecne i przyszłe pokolenie. Ten to pedantyzm jest dziedziczną chorobą Niemców, tak głęboko myślących i czujących tak żywo, a którzy dla tego w oświecie i postępie towarzyskich ulepszeń, nie powinni byli zbieżać leniwo za innemi narodami, ale wycelować nad wszystkie. Pod tym względem uważane pismo Altońskie, może i powinno korzystnie wpłynąć na kierunek oświaty ludów niemieckich.

Redakcya tego dziennika liczy do współpracowników swoich głośne imiona i talenta literackie. Wspominamy tu tylko pp. Varnhagen von Ense, Carus, Strauss z Tybingi, Teodora Mundt. Ostatni znany zaszczytnie jako redaktor Dioskurów, zwiedził ostatniemi czasy Kraków i jego okolice, i w pierwszym zeszycie na rok 1840. napisał rzecz o mogile Kościuszki. Niektóre ustępy tego pięknie i z uczuciem napisanego artykułu podajemy w tłómaczeniu:

»Zwiedzanie pomniku wielkiego męża jest jakby pielgrzymką do świątyni dziejów. Patrząc na uwiecznioną przez naród pamiątkę bohatyra, którym się, lubo całéj ludzkości przyświecał, jako najdroższą własnością swoją poszczyca, utwierdzamy się w przekonaniu, że rozsądek władający historyą świata nie jest urojeniem, że w dziejach odbywa się żywotni proces działania. Chociażby czyny męża takiego były tylko, jak kwiatki uszczknione, które z obumarłéj puszczone dłoni wicher na rozstaje rozmiata; choćby narodowi chwilowy tylko wśród wielkich uniesień nadały polot, któremu niebawem przyłamano skrzydeł, niechby nie wystawiały nic więcéj, jak tragedyą wielkiego charakteru, co z całą potęgą rozwiniętych sił własnego tylko odbija się zniszczenia: to i takich czynów pamięć błogą będzie dla przyszłości. Nad mogiłą męża, co je zdziałał, złudzenia dziejowe rzeczywistą jaśnieją wartością, a dzieło plemienia ludzkiego około wolności, na pozór mozaikowy obraz zwalisk i ruin, poświetla tu uroczym blaskiem przeznaczenia naszego, którém jest przedewszystkiém wolność. Narody upadają i giną, — tak niemal przemawia do nas pomnik męża narodu, — ale ponad ich zgliszcza i groby, jak sztandar zwycięzki zatkniony nad pokonaną śmiercią, unosi się i powiewa na całą wieczność życie człowieka potężnéj woli. W wielkich charakterach, w których wszystko, co z życia narodu było najlepszego i najwznioślejszego, objawiło się wiedzą

i czynem, żyją ludy i po upadku swoim. I to właśnie jest historyczne ubłogosławienie rodzaju ludzkiego, co się z tła dziejowego z pośród tylu kłamstw i zbrodni, tylu hańby i upodlenia przebija, że nad los narodu samego wyższą jest indywidualność człowiecza. Naród w niewoli i zakłóceniu upaść, zaginąć może, ale gwiazda wielkiego męża, co weszła na widowni jego, przyświecać mu będzie, dopóki dziejów stanie, i po jéj promieniach, z całym blaskiem chwały, ustąpi lud zamordowany na pola elizejskie. Czas następny pod opatrzności okiem leczy się z jego niemocy, wyzwala z jego więzów, a tego nabytego zdrowia, téj nabytéj wolności, żadna już inna potęga zatrzeć, zniszczyć nie zdoła. Tak więc naród uzacnia i zbawia się przez mężów swoich; a historyczne ohydne wypadki nikną przed urzeczywiszczającém się wyższém przeznaczeniem rodzaju ludzkiego.

Takiemi zajęty myślami zwiedzałem nieraz pod czas pobytu mojego w Krakowie kopiec Kościuszki, położony o ćwierć mili od miasta. Pomnik to, wystawiony pamięci najgodniejszego i największego Polaka, w którym, jako w czystém przezroczu, przeszły do nieśmiertelności i narodowe cnoty i narodowe nieszczęścia. Nie pracowało nad nim ani dłuto snycerza, ani go zakreślił sztuczny plan architektoniczny; prosty go rydel usypał, ręką narodu wiedziony. Zieloną murawą na pochyłościach strojny, podnosi się coraz węższym kręgiem aż do wierzchołka, na którym brak dotąd kamienia i rytego napisu, komu ten pomnik. Alić stojącemu tu na szczycie wędrownikowi poszeptuje imie cała okolica; długim rzędem sadzone na okół kopca topole, jakby smukłe grobowca strażniki szeleszczą w liść suchy pieśń narodową o wielkim naczelniku, a wiatry roznoszą ją daleko po kraju, ludowi na pociechę, który Kościuszkę ojcem swoim nazywał. I koniki polne, w okół kopca snując się po trawnikach, świerkają, jakby pieśń żałoby po onym ojcu: po ojcu, co wygrał wielką bitwę Racławicką, a przegrał pod Maciejowicami; po sierotach, co czciły w nim ideał miłości ojczyzny, i po zgonie jeszcze wierzyły w niego, jakby w moc nadprzyrodzoną, co z niebieskich wysokości błogosławi ludowi swojemu, i opiekuńcze nad nim roztacza skrzydła. Jest to mogiła narodowego żalu.

Nie dawno temu, stałem w kościele katedralnym Krakowskim, w mauzoleum dawnych królów polskich. Przez małe drzwi, osadzone w posadzce, schodzi się do sklepień grobowych. W pierwszém zaraz sklepieniu, oddzieloném od grobów Jagielonów, stoją trzy trumny. Spoczywają w nich zwłoki Jana Sobieskiego, Poniatowskiego i Kościuszki; dobrana trójca bohaterów polskich, połączonych tu z sobą w grobowéj ciszy, pośmiertne świadki wielkości narodowéj. Z tych trzech trumien jedna z ciemnego dębowego drzewa, prosta i bez ozdób; gdy kościelny pomknął latarnią po sarkofagu, co mdłém światłem słabo tylko pokonywała ciemność sklepienia, błysnął nam w wielkich literach, napis jednowyrazowy: Kościuszko.

Stałem zatém tuż przy jego popiołach, i wśród pomroku grobowca stanęła przedemną żywa postać zmarłego, w coraz wyraźniejszych rysach, które mi składała myśl, puszczona w zeszłość życia jego. Korne jakieś uszanowanie owionęło mnie, nakazane obecnością wielkiego męża, który był pierwszym i ostatnim z narodu swojego; pierwszym przez obywatelskie cnoty, niezrównaną prostotę i nieskazitelność duszy; ostatnim, co nieśmiertelną chwałą okrył zgon. Był to rzadki wzór naczelnika i obywatela, w którym w tak pięknéj harmonii publiczne i prywatne kojarzyło się życie. —

Zachód słońca po nad krainą Polski najuroczyściéj się wydaje z kopca Kościuszki. Przypatrywaliśmy się jemu nieraz z téj wyniosłości, gdy się dzień pogodny w uroczystéj ciszy skłaniał ku wieczornéj dobie. Przed naszemi oczyma zwolna chyli się i znika słońce, roztaczając szeroko najśliczniejszą grę farb, naprzód w jaskrawych, ognistych kolorach, któremi niebo i ziemia płoną, a potem w coraz ciemniejszéj, bledszéj barwie. Pyszny to widok; zdaje się, że natura w téj uroczéj chwili święci przemienienie swoje, niezwykłym urokiem ogarniające duszę człowieka, w myśli jego boskie jakieś budzące pojęcia. Od strony zachodniéj w złocie kłoniącego się słońca, po chwili, w purpurze wieczornego zorza, nurzają się Bielany, i klasztor Kamedułów na skale; od wschodu noc zwolna rozkłada się po mieście, z którego w coraz niewyraźniejszych postaciach sterczą, jak maszty okrętu, liczne wieże i kościoły: widok wspaniały i smutny zarazem, dziwnie sklejony obraz wielkości i razem upadku potężnego grodu. U stóp mogiły wije się w zakrętach srebrnowoda Wisła. W jéj lustrze drzy odbity obraz wieczornego nieba; od jednéj strony poczernia się nocą, od przeciwnéj poświetla mdławo. Rzeka to lacka, pełna to mielizn, to gwałtownych prędów, na podobieństwo charakteru Polaka. W dali półwieńcem rozłożone Karpaty, jak poważne i olbrzymie strażnice granic: nagie ogromy Tatrów najbliżéj zamykają widnokrąg; sromemi szczytami, które zmrok jakby całunem ogarnął, żałobnie zdają się poglądać na rozległą u stóp swoich równinę. — Nagle,

tuż blisko od spodu, dochodzi nas smętnie o tej mrocznéj ciszy rozlegający się dźwięk dzwonu. To w kaplicy Ś. Bronisławy, stojącéj opodal mogiły, dzwoni pustelnik na Anioł-pański.

Literatura krajowa.

Poezya.

Do poetów biadających.

Przestańcie śpiewać płaczliwemi głosy,
Oskarzać ludzi i sarkać na losy,
Wzywać o litość z wyciągnioną ręką,
Miękczyć przechodniów żebracką piosenką.
Łzy udawane uczuć nie poruszą,
Wielcyście głosem — ale mali duszą.
Przestańcie! słowem nie zmamicie gminu,
Mężowie pióra, lecz nie męże czynu!

Z ręką na sercu, z spojrzeniem na niebie,
Wyznajcie sami, coż wy okrom siebie
Kochacie więcéj na świata przestrzeni,
Choć nastrajacie oblicze do pieni,
To ktoż was nie zna wilki ogłodniałe?
Wy chciwém okiem czyhacie na chwałę,
Wam karmią serca jest listek wawrzynu,
Mężowie pióra, lecz nie męże czynu!

Przestańcie kwilić pogrzebni płaczkowie,
Lub idźcie biadać przy umarłych głowie:
Bo w naszych żyłach krew nie stygnie jeszcze,
W nas gra nadzieja i przeczucie wieszcze,
My jako woda kipiąca pod lodem
W martwéj skorupie życiem wrzemy młodém;
W was to, w was niema żywotnego płynu,
Mężowie pióra, lecz nie męże czynu!

Przestańcie jęczyć znudzeni próżniacy,
Wielkości chcecie? Niebójcież się pracy.
Przepaszcie biodra, obnażcie ramiona,
Niech wielkim dziełom wtórzy wasza strona,
Niech krwawym znojem obiegnie wam skronie,
Świętą Miłością niechaj pierś zapłonie.
Wtedy współczucie wywołacie z gminu,
Mężowie pióra, lecz i męże czynu!

K. Z.

Święcone u JO. Księcia Radziwiłła Sierotki.

(Wyjątek z niedrukowanego rękopismu.)

......przez cały wielki tydzień, poszcząc i susząc, pokrzepiałem się jedynie, łykając pył książek, które w księgarni JO. księcia, że były długo nie czytane, prochem i kurzawą leżały okryte. W Sobotę wielką, gdy pan Harmider z działami i puszkarzami wyruszył na resurrekcyą, udałem się także do Nieświża, abym przytomny był letycyi i allelujom. Resurrekcya odbyła się, jak należy, — książę pan z przyjacielem swoim, JP. Abrahamem Duninem, podczaszym litewskim, klęczeli w pierwszéj ławce karmazynami wybitéj i w processyi nieśli baldakin nad celebrantem, a dziedziniec obszerny przed kościołem wysłany makatami i liściem ajeru, wydawał się, jak łąka kwiecista. Skoro więc we drzwiach kościoła ukazał się celebrant ze złotą monstrancyą i mający nad głową karmazynowy baldakin, którego kije złociste niesione były przez JO. księcia samego, a drugi przez wojewodę Ilinicza, pana na Mirze, (który z księciem panem zrobił był układ na przeżycie, jako bezdzietny), dano ognia z dwunastu dział, a dzwonnicy na wieżach wystrzelili z dwóch moździerzy, a całe pospólstwo strzelało z kluczów, z dubeltuwek, z krucic, i był huk taki, że zwalił się pułap w domie pewnego mieszczanina, który potem rozpoczął o to proces z klasztorem, a te pretensye JO. książę aż po powrocie z ziemi świętéj zaspokoił. Była mu bowiem na sumnieniu, iż armatami swojemi mieszczański dom zburzył tempore pacis, — a z drugiéj strony upodobanie mając w harmatach, cieszył się z wielkiego, jaki zrobiły efektu; tak zaś był dumny z posiadania największych dział w prywatnéj majętności, iż obraził wiecznie JW. wojewodę Trockiego Żabę, a to w taki sposób: będąc raz w Trokach w zamku JW. wojewody na obiedzie, tenże wojewoda, chcąc od księcia komplement odebrać, że miał sześć armat u swego dworu, kazał puszkarzom, zatoczyć je pod same okna sali, gdzie książe Sierotka jadł obiad, i dać razem ognia ze wszystkich, gdy JO. gość kielich będzie niósł do gęby, co też się i stało; lecz książe pan, pomiarkowawszy, o co rzecz idzie, nie pokazał żadnego po sobie zadziwienia, ani respektu, — zniecierpliwiony tém pan Żaba, nie mogąc już dłużéj wytrzymać, zawołał: »A to z dział strzelają, Mości książe.« — »Z dział?« odezwał się niedbale książe pan, »myślałem, że z kruciczek.«

Po skończonéj resurrekcyi, gdy już było około północy, a my wszyscy zebraliśmy się około księcia pana, skończywszy pacierze, obrócił się do nas i mówiąc Christos woskres, całował się ze wszystkiemi, po czem zawołał: »Mości panowie, Bernadyni tańcowali na chórze z radości i pogubili trepki, — pokażmy im, że i w radości trzeba zachować pewną prestencyą i powagę — proszę za mną do bramy, na litanije.

Mówiąc to, piechotą udał się przez całe miasto do jednéj z bram, gdzie był obraz Matki Boskiéj. Brama była wązka i ciemna jak spelunka, a jedna tylko lampa

wisiała przed obrazem; tam na gołych kamieniach klęknął JO. książe z axamitną czapką pod pachą, a my wszyscy klęknęliśmy rzędem; wtenczas małe pachole sierota, którego książe chował przy sobie i bardzo lubił dla tego, że mu on młodzieniec grał na lutni i pięknie śpiewał, wystąpiło w białém ubraniu i klęknąwszy przed JO. księciem, twarzą do Matki Boskiéj, zaintonowało głosem prawie słowiczym, w którym coś niby płakania było i radości:

Regina coeli laetare alleluja,
Quia quem meruisti portare alleluja,
Resurrexit sicut dixit alleluja.

Książe pan porwał dziecko i ucałował, a zarzuciwszy wylotów i pogłaskawszy wąsa, zaintonował bernadyńskim głosem litanią. Lecz owoż w połowie śpiewu, kiedyśmy w najlepsze beczeli turris eburea, zrobił się od wejścia bramy łoskot wielki, i pomimo, że była pełna nas klęczących, wjechał wóz, ciągnięty przez dwa niedźwiedzie, które szły na łapkach a kijami się podpierały jak ludzie, na wozie zaś była wielka kufa srebrnemi obręczami obita, i na niéj woźnica z czerwonemi rogami i z ogonem. Zrozumiałem to zaraz, że być to być musi z księcia wiedzą i wolą uczyniona krotochwila. Już więc wszyscy powstaliśmy, aby nas wóz nie utrącił, a książe pan sam jeden klęczał, mając prawie niedźwiedzie na karku, co widząc jeden z dworzan przyskoczył do księcia i wziął go pod ramiona, ciągnąc na stronę, a książe go w pysk: »Czemu mi Acan przerywasz?« — potem przetarłszy oczy, jak ze snu: »A to co?« zawołał, pokazawszy na wóz i niedźwiedzie. — Na to djabeł siedzący na beczce odpowiedział: »Puszczaj, mości książę, to Najświętsza panna przysyła beczkę wody ze stopki poczajowskiéj Ojcom Bernardynom za to, że pięknie śpiewali na resurrekcyi — bo jeżeli nie popłuczą gardła wodą, to pomrą i nie skosztują jutro kiełbasy.« — »Łżesz!« krzyknął pan sierotka, »to djabli przysyłają księżom beczkę dyweldreku — chcą klasztor struć! ale ja nie pozwolę na to jakem sierotka; — gdyby to był prezent od najświętszéj panny, toby tu w dyszlu były konie Chrystusowe, a nie moje niedźwiedzie.« — »A kiedy tu w Litwie nie ma Chrystusowych koni.« — »Są!« krzyknął książę, »jeśli najświętsza panna poszuka osłów, to znajdzie, bo są w Litwie! — nieprawdaż panie kochanku?« dodał, obracając się do D., »wszak każdy biskup nowo sakrowany winien pierwszéj niedzieli wjechać do kościoła na ośle; — a ksiądz biskup wileński, że nie znalazł takiego zwierza, to się markocił, a ja mu poradziłem, aby wsiadł na swego synowca, i tak zrobił. Jakem biedny sierotka Najświętsza panna nigdy nie jeździła na niedźwiedziu.« — »Mości książę,« odezwał się Dunin, »musiała kiedyś jeździć na niedźwiedziu — a zkądżeby się wziął herb z Szantyrów.« — »Milcz Waćpan — a to widzisz, że to beczka moja z herbami — więc to kradziona rzecz — et confiscatur.« — Tu wmięszał się ksiądz gwardyan, który po odbytéj processyi rozebrawszy się z ornatów, w trop przybiegł za księciem panem, a zadyszany jeszcze trafiwszy na dysputę względem beczki odezwał się: »Mości książę! już ta beczka nam destynowana, więc czy djabla, czy nie djabla — niechaj rusza do klasztoru, a my ją wyexorcyzmujemy.« — »I wypijemy...« dodał książę. — Gwardyan kiwnął głową na znak, że potwierdza, a książę: »To niech djabeł tu zrzuci beczkę — a sam jedzie po klasztor, bo jakem sierotka, że łatwiéj przejść wielbłądowi przez uszko igielne, niż téj beczce przez bramę najświętszéj panny niepokalanego poczęcia.«

Jeszcze nieco trwała dysputa między ojcem gwardyanem, który adwokatował niby za prawami klasztora, a księciem, który beczkę zatrzymać chciał, nareszcie skończyło się na tém, że ją odszpuntowano, a djabli nowi nadeszli z tacą pełną kielichów, które między nas rozdane były — a po napełnieniu onych uklękliśmy wszyscy i kończyliśmy litaniją, z kielichami w ręku — i twarze mając obrócone do nieba, jakby w extazyi świętéj.

Skończyła się litanija i zaczęła się pijatyka, a książę pan porozsyłał ludzi na wszystkie trakty i gościńce, aby przejeżdżających łowili i gwałtem do bramy przyprowadzali. Zbierało się coraz więcéj takowych więźni, a już ich brama objąć nie mogła, aż wreszcie różowa Aurora wejrzała w bramę, gdzie wszyscy byliśmy jak ona rumiani i weseli, — a z wronami, które się już budziły, ruszyliśmy do zamku, mając już na wozie nie beczkę, ale księcia pana tryumfatora.

W zamku dopiero czekał nas aspekt niespodziany. Skoro bowiem otworzono drzwi od pierwszéj sali zaleciało nas powietrze i aura przesiękła zapachem święconego, które urządził kucharz pierwszy JO. księcia Włoch Loga ku krotochwili i zabawie; w pierwszéj bowiem sali stały trzy pasztety olbrzymiego kształtu, które ujrzawszy książę zawołał: »W. panowie, do ataku!« — co wymówiwszy zdjął z pierwszego pasztetu czapkę — i wyleciało z niego wielkie mnóstwo żywych kuropatw, jemieluch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które potłukłszy okna powylatywały na dziedziniec — gdzie jeszcze był długi ogon szlachty cisnącéj się za księciem panem, a ci, że wielu było uzbrojonych w fuzye, zaczęli owe ptastwo strzelać w lot, tak, że czasami wlatywał szrot do sali i spadał gradem od pułapu od-

bity na nasze łysiny, — lecz, że okna były wysokie, żadnemu to z nas nie szkodziło. — Tu książę przyzwał kucharza do sali i zaczął go mocno strofować za to, że nie dopiekł zwierzyny, — kucharz się tłómaczył po włosku, a że mi ten język nie był obcym, zrozumiałem co mówił, i byłem wielce ciekawy, co się w drugich pasztetach okaże. Albowiem zapytany kucharz, co się znajdowało w wielkiéj piramidzie stojącéj na prawo, odrzekł księciu panu, iż upiekł w niéj całego Laokonta z wężami, — a gdy to wytłómaczyłem szlachcie, a znajdowało się wielu, którzy znali historyą Eneasza przez Wirgiliusza rymem uwiecznioną, wszyscy wyglądali owego Laokonta w zadziwieniu. Wtém JO. książę, wziąwszy ze ściany buławę żelazną nabitą gwoździami, dał tak po piramidzie, że aż się rozleciała — i ujrzeliśmy siedzącego na ruinach pasztetu karła, w cielistym ubiorze, który był cały skrępowany kiełbasami, jakby ów Laokont właśnie pasujący się z gady Minerwy. — »A i ten żyje!« krzyknął z gniewem książę. — Na to kucharz Loga niby zawstydzony odezwał się: »Decoctus erat sed resurrexit.« — »Może to być,« rzekł pan Sierotka, »a w trzecim pasztecie co?« — Na to kucharz odpowiedział po włosku: iż była tam Andromeda przykuta do skały łańcuchami, a smokowi oddana na pożarcie — jakoż i po rozbiciu trzeciego pasztetu znaleźliśmy, karlicę księcia tak nazwaną Dyannę, która święconemi salcesony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak mający zamiast własnéj głowę dzika, z paszczęką otworzoną, która bez wątpienia karlicy owéj mogła być grobem. JO. książę udawał gniew — a my wszyscy dziwiliśmy się tym pięknym inwencyom Włocha, które niby oszukując nas, w zawieszeniu trzymały ranny apetyt. Tu wystąpił ksiądz Ryło Jezuita, już nie udając gniewu, ale prawdziwie rozsierdzony, i rzekł: »Niegodzi się, książe panie, z tworów Boskich czynić takie igraszki — oto ja, nie wiedząc, co było w tych pasztetach, poświęciłem je, więc i te stworzenia poświęcone zostały, jako rzeczy na jadło przeznaczone, a teraz mam skrupuł i grzech na sumnieniu.« — »Ja to sam wymyślił,« rzekł książę, »więc będę pokutował w Jezuralem, a te karły wczoraj spowiadały się i jadły komunikanta, więc woda święta nie spadła na djabła; a żałuję teraz, że zamiast tych trzech pasztetów nie kazałem zrobić jednego i nie wsadzić weń Drzymałę — bo nie bywa na nabożeństwie, toby choć raz napił się święconéj wody — możeby schudł — ale to rzecz nie stracona — bo go znajdziemy siedzącego w holenderskim serze w drugim pokoju. Wlazł sam na prośbę panny Anny marszałkówny, w któréj się kocha.« — Pan Drzymała, który stał przy mnie, zczerwieniał od gniewu, ale nic powiedzieć nie śmiał, aby uczty nie stracił, więc tylko mruczał pod nosem.

(Dokończenie nastąpi.)

Zachodnia Słowiańszczyzna.

W tym przedmiocie zawiera dodatek gazety powszechnéj augsburskiéj Nr. 276. z roku 1839. ważny artykuł, którego treść jest następująca:

»Uderzająca jest w naszym wieku oświeconym, że w Anglii, Francyi, a nawet Niemczech, więcéj wiedzą o Indyach zachodnich lub środkowéj Afryce, niż o zamieszkałych w sercu Europy zachodnich Słowianach, mianowicie austryackich. Ztąd tyle opacznych, śmiesznych i złośliwych sądów, rozsianych w podróżach i ziemiopisach, których przytoczenie byłoby zbytecznem. Nieodzywalibyśmy się, gdyby coraz zuchwalsze rozsiewanie fałszów niezagrażało duchowemu i fizycznemu kształceniu się tych spokojnych plemion.«

»Liczba Słowian w Czechach, Morawii, austryjackim Szląsku i Węgrzech północnych, którzy z małemi odcieniami językiem czeskim mówią, przewyższa znacznie ośm milionów. Przypuściwszy więc, że milion (co jest najwięcéj) zna o tyle język niemiecki, iż w nim moralną lub umiejętną książkę czytać potrafi, tedy zostaje najmniéj siedm milionów niemających innego środka oświecenia się w moralnym lub przemysłowym względzie nad język ojczysty. Wie to dobrze rząd austryjacki, a w skutek dobroczynnych jego mianowicie od początku tego wieku rozporządzeń, mocą których kapłani, nauczyciele, lekarze i urzędnicy obowiązani są posiadać gruntownie język krajowy, dostrzega się już wpływ zbawienny na uobyczajenie i pomyślność narodu. Tu więc podstawa dla nowéj błogo zakwitającéj literatury czeskiéj! Atoli osobliwsza, niesłychana w dziejach oświaty przeszkoda zagraża zgubnie téj młodziuchnéj odrośli. Jest to nienawiść, jaką dyszy zachodnia Europa przeciw wschodnio-słowiańskiemu mocarstwu, a ztąd wzgarda, z jaką uważa i sądzi wszystko, co się zowie słowiańskiém. Dzienniki angielskie, francuskie i niemieckie głoszą krucyaty przeciw słowianizmowi. Czytelnik musi się mimowolnie przejąć takąż nienawiścią ku Słowianom, czytając takie artykuły, jakie n. p. w gazecie powszechnéj z 5. i 6. Sierpnia z. r. z Prus umieszczono, z których ostatni mówi o nastąpić mającém despotycznem jedynowładztwie wszystkich Słowian; pierwszy zaś ostrzega, iż w téj mierze jakoweś tajne towarzystwo zaopatrzone

we wszelkie potrzebne środki czynnie się zajmuje, wysyłając na wsze strony emisariuszów, którzy schlebiając próżnościom różnych szczepów, umieją wywoływać namiętności ludów i robić sobie wszędy zwolenników.«

»Połowę ludności państw austryjackich składają Słowianie, ludy spokojne z przyrodzenia, lecz umysłowéj uprawy bardzo potrzebne. Takowy wzgląd może niejednego przyjaciela słowiańskiéj oświaty zachwiać i odstraszyć od pracy. Czeski mianowicie pisarz ma i tak mało zachęty, ni wielka sława, ni wielkie zyski nie wieńczą jego usiłowań, skoro je jeszcze i polityczne podejrzenia zatrują, skruszy niechybnie pióro, zostawiając smutnemu losowi język i naród.«

»Być może, że ten lub ów patriota moskiewski marzy o jedynowładztwie słowiańskiém. Takowe mrzonki przędzie nawet w swéj głowie jeden lub drugi nierossyjski Słowianin. Lecz to są strachy na wróblów. Niemasz w Europie narodu, któryby sobie takowéj zmiany mniéj życzył, nad Słowian zachodnich. Albowiem pod berłem Austryi rozwinął się między Słowiany inny żywioł, tamtemu wprost przeciwny, który się wszelkiéj amalgamizacyi z obcym pierwiastkiem oprzeć potrafi.«

Daléj uważa autor, iż rezultaty nowszych usiłowań zachodnich Słowian w literaturze, są wielce zadziwiające, i daje krótki przegląd literatury i dziennikarstwa czeskiego. Zbija potem niesłuszny zarzut, jakoby język czeski był nieukształcony, twardy, prostacki i już wpółmartwy, i wykazuje jego zalety. Zresztą winę niezbyt wysokiego ukształcenia upatruje w dwiestuletniém zarzuceniu czeszczyzny przez uczonych i szlachtę i wygnaniu jéj do strzech wieśniaczych. Ztąd owa pozorna jéj prostaczość. Niech przez lat dwieście językiem niemieckim mówią tylko chłopi i woźnicy, a co z nim będzie?

Uprawa języka czeskiego nierobi wreszcie uszczerbku niemczyznie. Wszakże najlepsi pisarze czescy Dobrowski, Szafarzyk, Palacki, Kollar, przysłużyli się właśnie nie jednem wyborném dziełem literaturze niemieckiéj. Onito rozświecili Niemcom niejedną stronę słowiańskiego życia.

Za często słyszymy zarzut, że język czeski jest dziś wpółmartwy i niemożna się po nim niczego na przyszłość spodziewać. Prawda (powiada autor) że tylko małoduszni ludzie lgną do swych powiatowych narodowości. Lecz to stósować się tylko może do Walończyków, Walisów, Basków i innych narodków, których ilość ledwie kilkakroć głów wynosi, bynajmniéj zaś do ośmiomilionowego narodu. Język więc Słowian austryjackich może się wszelkiém prawem spodziewać świetnéj przyszłości.

Czujemy mocno słuszność téj sprawy, za którą jeden z naszych pobratymców pierwszy raz tak silnie w najpowszechniejszym organie niemieckim przemówił. Zasady jego w głównéj treści z naszém przekonaniem zgodne, są nam powodem, że się obszerniéj nieco nad tym przedmiotem zastanowimy.

W naszym czasie, gdzie polityka sobie wszystko przywłaszcza, ucieszną czasem jest rzeczą widzieć, w jaki sposób stronnictwa swe zastępy kompletują, ażeby je w oczach przeciwników tém straszniejszemi uczynić. »Visne dea mecum ire Romam« pytał Rzymianin bóstwo zdobytego miasta, a w milczeniu posągu widział przyzwolenie. Również tak i stronnictwa polityczne. Choćbyś był polityce najwięcéj obcym, znajdą cię przecież, a jeśli tylko ich nagabanie przemilczysz, jeśli zaniedbasz głośną protestacyą przeciw wszelkiemu z nimi uczestnictwu zawczasu się obwarować, spodziewaj się na pewno, do jednego lub drugiego być policzonym, a naturalném następstwem, mimo woli i powodu z twéj strony, stać się uczestnikiem nienawiści i prześladowania jego przeciwników.

Słowianie zachodni, usiłowaniem podniesienia niemal każdego ze swych licznych narzeczy do godności języka pismiennego rozdrobnieni, uczuli w sobie po krótce brak siły żywotniéj do samoistnego życia umysłowego.

Szczególniejszéj uwagi godna, iż korrespondent pod tém nowo rozkwitającém życiem umysłowém nie rozumie mozolnych usiłowań zachodnich Słowian, łożonych celem wykształcenia swych kilkunastu narzeczy na tyleż niemal języków piśmiennych. Owszem, jeśli dotąd jednakość z mową ludu miano za główną cechę języka piśmiennego, i z tego powodu kształcono je z najdrobniejszych nawet narzeczy; on przeciwnie, za istotny warunek narodowości takowego, znaczną liczbę mówiących uważa, i nie jednakość, lecz tylko podobieństwo onego do mowy ludu, za konieczne uznaje; nazywa bowiem kształcenie narzeczy małodusznością, a zaś jako stanowczy dowód narodowości języka czeskiego wskazuje liczbę ośmiomilionową mówiącą tym językiem, lub jemu podobnemi narzeczami, mniéj uwzględniając różnice powiatowe, a nawet i historyczne, zachodzące pomiędzy ludami Czechów, Węgrów i Morawców w téj liczbie zamkniętemi.

żywotności

Języki i narzecza zachodnich Słowian mają po największéj części ścisłe pomiędzy sobą podobieństwo, a nawet i wzajemnie najmniéj podobne nie daleko od siebie odbiegły. Jeśli więc korrespondent, przyganiając kształceniu narzeczy, tylko językowi piśmiennemu przez połączoną znaczniejszą ilość ludu przyjętemu, cechę narodowości przyznaje, ostatnie zaś krańce tego połączenia bez względu na różnicy powiatowe, a nawet i historyczne, aż tam zakłada, gdzie się kończy podobieństwo narzeczy, nie widzimy przyczyny, dla czegoby takowe na samych tylko Czechów, Węgrów i Morawców miał ograniczać; owszem idąc ścisłą następnością jego własnych zasad, wnosić musimy, iż zjednoczenie się umysłowe wszystkich zachodnich Słowian, przyjęciem wspólnego języka piśmiennego nie tylko za możliwe uważa, ale nawet za konieczne do podniesienia ich oświaty.

Kiedy w ten sposób nowa idea kształcenia się Słowiańszczyzny, przeciwna mniemaniu i praktyce między Słowiany dotąd powszechnéj, po raz pierwszy tak głośno na jaw występuje, może nie będzie od rzeczy, rzucić kilka myśli, do łatwiejszego ocenienia tych sprzecznych kierunków posłużyć mogących. Dla okazania stanowiska, z jakiego rzecz tę pod rozwagę bierzemy, winniśmy uprzedzić, iż przez naród rozumiemy część rodu ludzkiego, swą liczbą do samoistnego osiągnienia wszystkich celów spółeczeństwa uzdolnioną, spokrewnioną językiem piśmiennym, kierunkiem wyobrażeń, nareszcie podobieństwem obyczajów i zwyczajów. Za jedno uważamy, czyli zlanie się w jeden naród jest skutkiem spólnictwa rodowości, życia politycznego lub umysłowego. Do głównych celów spółeczeństwa należy obrona i oświata. Z tego powodu plemiona tu i owdzie rozrzucone i pojedyńcze powiatowszczyzny, od całości narodu odłamane, noszące już w nieliczności swych ludów wieczną niemożność samoistnéj obrony i oświaty, nie zasługują imienia narodu. Bo czemuż język, obyczaje i zwyczaje narodowe, pominąwszy nawet ich wartość wewnętrzną, tylko jedynie dla tego, iż są narodowemi, wzbudzają w nas taką cześć głęboką? Cóż je czyni tak świętemi? Zapewne nie to, iż są nasze, lub iż są dawne, albo nareszcie, iż mnogość indywiduów, którym są wspólnemi, zapewnia im nieśmiertelność, lecz raczéj ta idea, iż zdziałane niemi spokrewnienie, wiążąc współuczuciem fizyczne siły milionów, nie dozwala w nich krzywdzić prawa człowieka, lub przynajmniéj krzywdy uwiecznienia, a tém samém czyni narodowość najdzielniejszą tamą nieskończonych zaborów, że wiążąc ich siły umysłowe spólnictwem języka, czyni takowy dla ogółu dostateczném źródłem oświaty. Dla tego mimo wszelkiéj wartości, jaką do narodowości przywiązujemy, niewahamy się doradzać takim drobnym ludkom, ażeby zaniechawszy pielęgnowania swych różnic powiatowych i plemiennych, przez połączenie wzajemne, albo też z jednym lub drugim narodem, narodowością do siebie najwięcéj zbliżonym, uzupełnili swą liczbę do wielkości narodu. Bo na cóż im się przyda pielęgnowanie własnéj plemienności, jeśli jéj drobnością są skazani w całą przyszłość u obcych narodów szukać obrony? na co w szczególności kształcenie własnego języka, jeśli mimo takowego, mają wiecznie być przemuszeni dla czerpania swéj oświaty całym ogółem uczyć się obcych języków? Lepiéj jest, zaiste, przez zlanie się z innym narodem zapewnić sobie raznazawsze możność obrony i oświaty, jak opieraniem się przy swojszczyznie, skazać całe potomstwo na wieczne igrzysko ambicyi politycznéj sąsiadów, i uczenie się obcych języków od pokolenia do pokolenia. Nareszcie, jakimże celem miałyby takie drobne plemiona pielęgnować swe odosobnienie? czyli dla tego, ażeby obok ich małości innych narodów wielkość tém wydatniéj świetniała? Winniśmy jednakże uprzedzić, iż wykazując przyczyny łączenia się plemion między sobą, lub z innymi narodami, tylko ich dobrowolne postanowienie mieliśmy na względzie; żadnéj bowiem ludzkiéj potędze nie przyznajemy ani prawa, ani nawet siły, wbrew woli ludu zatrzeć znamiona jego plemienności. Ostatniego dowodem jest lud żydowski. Aleź zarzucają: narodowość jest dziełem boskiém, dla tego takową w tym kształcie szanować należy, w jakim się pojawia, bez względu na mniejszą lub większą plemienność; bo któż oznaczy liczbę ludu, do utworzenia narodu istotnie potrzebną? Jeżeli wszystkie dzieła boskie nie wahamy się zastósowywać do potrzeb naszych, nie widzimy przyczyny, dla czegoby narodowość miała w téj mierze wyjątek stanowić, żadne bowiem dzieło, ani ludzkie, ani boskie, nie uważamy za tak święte, ażeby go nie było wolno nakierować do rozumowych celów człowieka. Prawda, iż nie podobna w ogólności wykazać liczbę ludu, do utworzenia narodu potrzebną; ale przeczymy, jakoby takowa w szczegółowych wypadkach z właściwości stósunków ludu i celu narodowości oznaczyć się nie dała.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

W drukarni W. Deckera i Spółki wyszło w tych dniach nakładem księgarni J. J. Heinego w Poznaniu trzecie wydanie »*Pamiętników Jana Chryzostoma Paska.*« Druk jasny i wydatny, papier piękny, odróżnia to wydanie od dwóch dawniejszych. Cena zł. p. 10. Sądzimy, że i to wkrótce się rozejdzie i że nakładca żałować nie będzie kosztów łożonych na ozdobne wydanie tego tak ze wszech miar wybornego dzieła.

Nowiny literackie z Galicyi. Pan Stanisław Jaszowski wyda wkrótce: Marya z Paleologów, czyli poseł polski w Konstantynopolu, powieść historyczna z pierwszéj polowy XVIII. wieku; przygotował także do druku tom trzeci Sławianina. — P. Wincenty Pohl ma ukończone Rzeki, stanowić mające jednę część jego wzorowéj geografii Galicyi, nad którą od lat kilku z prawdziwie żelazną wytrwałością pracuje. — P. Jan Deszkiewicz, bibliotekarz Potockich w Łańcucie, pisze porównawczą grammatykę języka polskiego; — a P. Zubrzycki przygotowuje do druku Starożytności lwowskie, złożone z różnych dawnych pismiennych pamiątek, jakie zebrał w starożytném archiwum magistratu miasta Lwowa.

W Warszawie wyszedł Nr. 4. śpiewów kościelnych Józefa Krogulskiego, zawierający mszę, ułożoną na 4 głosy z towarzyszeniem organów.

P. Rypiński wydał kilka słów o poezyi ludu białoruskiego i jego muzyce, tańcach i t. d. Im silniejsze jest przywiązanie do ojczystéj ziemi, im bardziéj to przywiązanie z serca pochodzące na rozumowych opiera się zasadach, tém więcéj czujemy potrzebę dokładnego poznania życia i zwyczajów ludu pojedyńczych prowincyj naszéj ziemi, ludu z którego kiedyś cała przyszłość ma zakwitnąć. Dla tego każde serce szlachetne z zachwytem porywa szczegóły o życiu, zwyczajach, zabawach, poezyi i piosnkach ludu, płacze wraz z nim nad niedolą, cieszy się w jego tańcach i śpiewach nadzieją lepszych dni. Te zabawy prowincyalne, to życie — jest właściwie co do istoty w wszystkich prowincyach naszego kraju równe — różni ono się tylko tak od siebie, jak n. p. kmiotek nasz jednéj prowincyi od drugiéj ubiorem; spojrzyj tylko w serce, a poznasz że jedno i to samo, choć pod rozmaitemi sukmanami, każde poczciwe, każde dobre, każde polskie. — Takiemi uczuciami przejęci wzięliśmy z radością p. Rypińskiego dziełko do ręki; sądziliśmy w niém znaleść wierny opis zwyczajów, zabaw, poezyi, muzyki Białorusinów, lecz nadzieja nasza zawiedzioną została — całe dziełko po większéj części jest tylko salonową gadaniną, napełnione do rzeczy nienależącemi albo zkąd inąd dawno znanemi szczegółami. Autor mógłby był napisać coś dobrego, ale zarozumiałemu (jak to z przedmowy do dodatku uważamy) brakło na pracy i wytrwałości. Sądził on, że, co przyjaciele i znajomi, oraz tow. literackie w Paryżu pochwali, jest wyborném; gdyby nie to, zapewne niebyłby wydał tak niedojrzałego owocu, jak jest jego Białorus.

Olizarowski pracuje nad nowym dramatem: Serce i Głowa i ich Satellity. (!)

W ogłaszanym od lat kilku zbiórze: *l'Univers pittoresque*, który stanowić będzie około 40 tomów, ozdobionych 3000 rycin, wyszła w tych dniach Polska przez Karola Forstera; tom obejmuje 350 str. z 54 rycinami na stali.

Na wzór *Panthéon litteraire* wydawać będą pp. Glücksberg »Panteon pisarzów polskich,« mający się składać z dzieł Krasickiego z dopełnieniami Naruszewicza, Karpińskiego, Trembeckiego, Kochanowskiego, Szymanowskiego, Czackiego, Węgierskiego, Górnickiego, Klonowicza, Gawińskiego, Zimorowicza, Orzechowskiego i t. d. Nadto Herbarz Niesieckiego, Wiadomości literatury Ossolińskiego. Prospekt na to przedsięwzięcie wkrótce ogłoszonym zostanie.

W Warszawie wydał w tych dniach X. Ed. Andraszka, wydawca tomu 1go Od Sarbiewskiego, grammatykę języka łacińskiego; obejmuje ona str. 414. Cena 4 zł. pol. — Tamże wyjdzie wkrótce poszyt trzeci Przeglądu. — Świata dramatycznego z r. b. wyszedł poszyt 6ty, zawiera: Ubiory, dekoracye, maszynerya i balet w starożytnym teatrze w Polsce; (Wyjątek z dzieła K. W. Woycickiego w rękopismie: Starożytny teatr w Polsce.) Baron. Anegdoty muzykalne i t. d.

Już eśmy czytelnikom naszym donieśli, iż Pan Ludwik Wołowski mianowany przez rząd francuski professorem w konserwatorium sztuk i rzemiósł, rozpoczął kurs prawodawstwa przemysłowego dnia 9. Stycznia. W kilku początkowych lekcyach, za wstęp historyczny służyć mających, opowiedział utworzenie się korporacyj we Francyi i wskazał w ich istnieniu trzy epoki: przemysłową, polityczną i fiskalną, i daléj w kolei czasów rozebrał ustawy i nadania królów, zastanowił się nad wielką epoką Kolberta, ocenił system kredytowy Lawa, przełożył obraz polepszeń wprowadzonych przez Turgota i skończył na przedstawieniu popraw przez rewolucyą francuską dokonanych. W następujących lekcyach ma Pan Wołowski przejść do części ekonomiczno-prawnéj swego kursu, zakładając sobie obszernie w tym rozku wyłożyć rzecz o towarzystwach handlowych, dobroczynnéj instytucyi des prudhommes i patentach. W krótkim przeciągu czasu, który od otworzenia kursu upłynął, umiał już sobie zjednać młody professor chętną uwagę licznie zbierającéj się publiczności. Wykład jego cechuje jasność myśli i gładkość wysłowienia, ożywiają go przytém wyobrażenia postępu, duchowi czasu odpowiednie. (M. P.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*